

Rozdział 1

Były takie czasy, że młode dziewczyny ze wsi musiały czas jakiś u wytrawnych już gospodyń, u matek kilkorga dzieci służyć, żeby pomóc i żeby nauczyć się dobrze gospodarzyć i dzieci wychowywać.

Eli była taką dziewczyną u Trudy Krank. Była wojna i rodziny wielodzietne ceniono. Na wojnie dużo ludzi ginie. Na wojnie dużo młodych jest potrzebnych. Na wojnę produkuje się broń, na wojnę kobiety rodzą dzieci. Chłopcy są szczególnie cenieni, bo ci na wojnie walczą, bo ci na wojnie giną.

A Trudzie dziewczynki się rodziły. Cieszyła się, ale Teo chciał syna, jak każdy mężczyzna. Tymczasem dumny był ze swoich trzech córek.

Wojna jeszcze trwała, coraz częściej ktoś dostawał ten smutny list, którego się kobiety bały: i żony, i matki, i córki, i narzeczone. Coraz więcej wdów było we wsi. Coraz młodszy chłopcy na wojnę szli. Coraz młodszy chłopcy ginęli. Teo coraz rzadziej do domu na urlop przyjeżdżał. I jak tu ma się jeszcze syn urodzić? Same kobiety we wsi były, ze starcami i kalekami.

Ale w końcu przyjechał Teo Krank na urlop. Nie sam przyjechał. Przywiózł ze sobą chłopca, osiemnaście lat miał. Jego rodzina w gruzach Stuttgartu zginęła. Sam został i nie miał domu, do którego na urlop z frontu się jechało.

Początkowo Teo go odganiał. Maks miał na imię. Był rudy i piegowaty, i koledzy z kompanii Fuks go nazywali, i nikt z nim się nie przyjaźnił. Siedział sobie zawsze sam. Inni od niego stronili, i on się nie narzucał. Ale zdarzyło się tak, że uratował Tea od śmierci.

Nawet nie był tego świadom. Ale Teo o tym wiedział. Tea słuchali, bo był jednym ze starszych, którzy od początku wojny na froncie walczyli i jakoś ostali się przy życiu.

Dostał Teo urlop. Znał dowódcę, więc wyprosił i dla Maksa te dwa tygodnie, nic mu o tym nie mówiąc.

– Pojedziemy do mnie na Śląsk. Nie masz rodziny, to u mnie ją znajdziesz – powiedział Teo do Maksa. Ucieszył się Maks. Chciał uciec od tych ciągłych docinków, przezwisk i popychania. Choć ostatnio mniej mu dokuczano. Zauważył też, że Teo się blisko trzyma. Wypytuje go o jego życie, o rodzinę. . .

I jakby go chronił w czasie walki. Kazał mu się trzymać z tyłu.

Pociągami do Opoła dojechali po dwóch dniach podróży, po kilkunastu kontrolach, czy aby nie dezertrzy. Coraz więcej takich było. Żołnierze czuli, wiedzieli, że wojna dobiega końca, że front cofa się i cofa. Czuli, wiedzieli, że Niemcy tę wojnę przegrają, że oni przegrają.

Już była jesień. Piękna, ciepła. Truda kartofle kopała. Ciężko jej było. Krzyża nie czuła. Eli pomagała, choć to nie było jej obowiązkiem. Jak najmłodsze dziecko uspiła, jak wszystko w kuchni zrobiła, pomogła czasem Trudzie kartofle z pola zwieźć i bróg¹ usypywać.

Truda co chwilę stawała na tym kartoflisku i prostowała zmęczone plecy, i nie wiedzieć dlaczego, wyglądała kogoś, zasłaniając dłonią oczy przed ostrym jeszcze słońcem. I zobaczyła dwóch mężczyzn. Ten jeden to na pewno Teo. Rzuciła kopaczkę i pobiegła do domu.

– Eli, Eli – wołała. Eli wyszła na próg i też ich zobaczyła. Już przy furtce byli.

Jak Eli zobaczyła Maksa, poprawiła ręką włosy i uśmiechnęła się. A on zobaczył ten uśmiech.

Jaka radość w domu nastąpiła. Tych dwóch ludzi szczęście do domu przyniosło. Truda się cieszyła, że Teo, jej chłop przyjechał. Dziewczynki, że papa wreszcie jest. Eli, bo coś miało się nowego i pięknego w jej życiu wydarzyć.

¹bróg – kopic do przechowywania zimą ziemniaków

Byli głodni, spragnieni. Eli chleb kroїła. Maks patrzył, jak bierze olbrzymi bochen, jak najpierw znak krzyża nożem na chlebie pisze, jak opiera ten bochen na brzuchu i wprawną ręką kroi cienkie kromki. Potem te kromki masłem żółciutkim smaruje i na talerzu kładzie.

Maks nic nie mówił i Eli też milczała. Nakroiła hałdę chleba z masłem i potem się krzątała koło blachy pieca: kawę zbożową gotowała i jajecznicę z dziesięciu jaj na dużej patelni smażyła. Ciągłe włosy przyglądała, choć wcale nie były potargane. W ciasne warokce jeszcze rano splecione.

Potem wreszcie wszyscy do stołu usiedli. Starsze dziewczynki przy papie usiadły, ale maleńka na rękach Trudy być musiała. Nie chciała do papy, nie chciała. To był obcy człowiek. Nie знаła go i się bała.

– Eli, Eli... – wołała w płaczu i do Eli rączki wyciągała. Eli ją wzięła i do kołyski położyła, i maleńka zaraz usnęła.

Już ciemno się zrobiło, kiedy Eli skończyła zmywać po wieczery, a daleko miała do domu. Starą drogą trochę bliżej, ale trzeba było iść kawałek przez las. Na drugim końcu wsi z matką i ojcem mieszkała. Nieraz na noc zostawała i w kuchni spała na szezlongu, jednak dziś to miejsce miał zająć Maks i musiała iść do domu.

Różni ludzie po wsi się kręcili: złodzieje, żebracy, dezertrzy. Chodziły wieści, że za kawałek chleba gotowi są zabić. Bała się Eli sama wracać do domu.

Maks wstał od stołu i chciał spać w stodole albo na strychu, ale Eli postanowiła jednak iść do domu.

– Ja cię odprowadzę – powiedział i Eli na Trudę spojrzała, jakby pytała, czy to wypada. Truda kiwnęła głową, że tak. Założyła więc Eli swój stary płaszcz, a Maks marynarkę od munduru, i poszli.

– Uważaj na drogę, żebyś się potem nie zgubił, jak będziesz wracać – zawołał za nim Teo, jak tych dwoje już za furtką było.

Nic do siebie nie mówili, szli tylko obok, a ciemno było i chłodno.

Eli myślała, dlaczego się Maksa nie boi. Przecież jest obcy, przecież jest silny, przecież mógłby jej krzywdę zrobić. Każdego innego bałaby się w taki ciemny wieczór, a jego nie.

Szli szybkim krokiem. Eli zawsze tak szybko chodziła i po pół godzinie byli już przy furtce jej domu.

– Dziękuję, że mnie odprowadziłeś – powiedziała i podała mu rękę. Maks trochę dłużej niż trzeba trzymał jej dłoń.

– Przyjdiesz jutro? – spytał.

– Przyjdę zaraz z rana – powiedziała cicho i zniknęła za furtką. Maks stał jeszcze chwilę. Eli stuknęła do okna i powiedziała matce, że to ona. Drzwi wejściowe się otworzyły i tylko się jeszcze na Maksą obejrzała, i zniknęła w ciemnej sieni. Maks wracał i myślał w drodze o tej brzydkiej dziewczynie.

Eli o tym rudym chłopcu myślała i choć bardzo była zmęczona, nie mogła zasnąć. Zawsze zasypiała, jak tylko poduszkę pod głowę poczuła, a dziś jakoś nie. Pierwszy raz położyła się, nie zmówiwszy przy łóżku pacierza. To dlatego zasnąć nie mogę, pomyślała i wyskoczyła z łóżka, uklękła i dopełniła obowiązku wobec Boga, i po „amen” znów do łóżka wskoczyła i usnęła.

Wcześniej i jakoś radośniej rankiem wstała.

– A co ty się tak wystroiłaś, przecież do roboty idziesz – powiedziała matka.

Eli już była gładko w dwa warkocze uczesana. Nowe wstążki w kratkę, te niedzielne, w warkocze wplotła i cienkie warkocze dziś w koszyczek zawiązała.

Na co dzień wiązała warkocz przy uchu z tej samej strony. To uczesanie nazywano *afensiaukle* (małpie huśtawki), bo pod każdym uchem podwinęty warkocz się huśtał. Na niedzielę był koszyczek i wtedy kokardę wiązała przy przeciwnym uchu, i warkocze tworzyły jakby pałaki odwróconego koszyka, opadające na szyję. Niektóre dziewczyny na niedzielę oplatały warkocz wokół głowy. Eli miała rzadkie włosy i cienkie warkocze, wołała więc je schować na szyi. Jeszcze przed lustrem siedziała i do matki się w lustrze uśmiechnęła, nie odwracając głowy. W tym uśmiechu pokazała piękne białe zęby, o które dbała jak żadna dziewczyna we wsi. Mało kto pastę do zębów kupował. Eli kupowała pastę i szczotkę, i rano i wieczorem zęby myła. Tego też uczyła dzieci Trudy. Dwie starsze dziewczynki miały już swoje szczoteczki i Eli pilnowała mycia zębów.

– Możecie mieć brudne nogi, ale przed snem pamiętajcie o *Aniele Boży* i o zębach – tak do dziewczynek mówiła.

Czystą bluzkę założyła i czysty fartuch ze sobą wzięła.

Dziś ta droga była jakby krótsza i jakoś lekko się szło. Już świtało i ludzie ze wsi na pierwszy pociąg spieszyli. Nie była sama na drodze, nie bała się.

Truda już nie spała. Już ogień w kuchni rozpałała, już krowy doiła. Eli przyglądała się Maksowi, jak w kuchni na szezlongu śpi, jak lekko oddycha.

– Podoba ci się ten Maks? – spytała Truda. Stała już chwilę w drzwiach z wiadrem mleka i widziała, jak Eli z zachwytem na śpiącego patrzy.

Eli się zawstydziła, nic nie odpowiedziała, opasała się czystym fartuchem i do roboty się wzięła. Żur dla wszystkich ugotowała, boczek wędzony wytopiła i ten żur okrasiała. Aż ten zapach Maksa obudził. Otworzył oczy i nie wiedział, gdzie jest. Już nie pamiętał, kiedy tak dobrze spał. Leżał cicho i przyglądał się tej dziewczynie. Była zwinna i lekko się po kuchni krzątała. Nagle zobaczyła, że Maks już nie śpi i jej się przygląda.

– Wstawaj. Śniadanie gotowe – powiedziała cicho i uśmiechnęła się do niego.

Maks wstał. Wyszedł na podwórko i nie mógł uwierzyć, że taka cisza jak ta na tym podwórku jest prawdziwa. Wyszedł za furtkę i pomyślał: tu mógłbym żyć. Szedł potem w stronę lasu, na mostku się zatrzymał i patrzył w szybki nurt rzeczki. Wszedł do wody, do pół łydki sięgała. Była zimna, ale nabrał wody w dłonie i umył twarz, potem zdjął bluzę wojskową i cały się ochlapał. Biegł do domu rześki i wesoly. Eli podała mu ręcznik. Wytał się, założył koszulę Tea i usiadł na ławie za stołem.

Nie znał życia na wsi. Widział ją tylko z okien pociągu, jak jeszcze przed wojną do kurortu raz w roku z rodzicami jeździł. Znał wieś tylko z tych kilku miesięcy frontu. Ale to była wieś wroga, to była wieś francuska, to była wieś partyzancka. Znał też wieś z wyjazdów na obozy, kiedy był w Hitlerjugend. To było nie tak dawno, ale czas na froncie tak się dłużył, iż wydawało się tak odległe. I rodziców już prawie nie pamiętał, choć niedawno zginęli. Żył

na froncie z dnia na dzień, jakby już tak zawsze być musiało. Żył na froncie, jakby już tam na zawsze miał zostać.

Trzymał się Tea, bo opowiadali, że on najdłużej na froncie walczy, że takich jak on śmierć omija. Widział w nim nadzieję na ocalenie. Jak wtedy ta bomba w ich okop trafiła, pięciu zginęło, kilku było rannych, tylko im nic się nie stało.

Teo myślał, że to Maks mu życie uratował, bo w czasie wybuchu powalił go na ziemię, zaś Maks myślał, że to dzięki Teo ocalał, gdyż Tea śmierć omija.

Podobałoby mu się życie na takiej wsi. Podobałoby mu się życie takie, jakie miał Teo: z żoną, z dziećmi. W ciszy i spokoju. Życie dalekie od miasta. Życie dalekie od wojny. Nie wierzył, że może być takie miejsce na ziemi, gdzie jeszcze wojna nie dotarła. Tu znalazł takie miejsce. Tu było, na tej wsi.

Wiedział Maks, że nie jest urodziwy. Wiedział, że dziewczyny od niego uciekają. A tu ta dziewczuszka się rumieni. A ta Eli patrzy na niego inaczej niż inne. To nic, że nie jest taka ładna jak tamte z miasta, które pamiętał, o których tylko marzył. To nic, że jest prostą wiejską dziewczyną. Przecież on też będzie już chciał na wsi żyć, jak na tej wsi jest tak spokojnie, bez wojny...

Z chęcią pomagał przy kopaniu ziemniaków, przy usypywaniu kopca z ziemniakami. Teo uczył go, jak się kosę trzyma, jak kosić trawę. Przyglądał się, jak Truda krowy doi, jak potem to mleko wiruje, jak masło robi. Posmakował prawdziwej maślanki i prawdziwego chleba przez Trudę upieczonego.

Codziennie odprowadzał Eli do domu. Już ze sobą rozmawiali i oboje na coś czekali, i oboje się bali. Na razie trzymali się za ręce, na razie nie wiedzieli, co ich spotkało, na razie nie wiedzieli, dlaczego nie mogą w nocy spać, dlaczego wciąż myślą o sobie, dlaczego czekają na wieczór, by iść tą drogą, za ręce się trzymając.

Czas jednak tak szybko ucieka i już połowa urlopu minęła, już niedługo trzeba będzie wracać na ten okropny front. A tam nie będzie tego spokoju, tej ciszy, tej wsi, a tam nie będzie Eli.

W niedzielę Eli miała wolne, nie musiała u Trudy służyć. Ale Eli nie chciała tej wolnej niedzieli. I Maks jakoś się na niedzielę nie cieszył.

– Pójdę do Eli po południu – powiedział do Trudy przy obiedzie.

– Idź, to dobra dziewczyna. Ale jej nie skrzywdź.

Maks założył mundur i szedł tą samą drogą, którą co wieczór z Eli przemierzał. Inna była ta droga w dzień. Pusta i długa. Jak szli z Eli, jakaś krótsza się zdawała.

Eli siedziała w oknie i na tę drogę patrzyła. Aż stanęła, wyszła na dwór, nie wierzyła. „Idzie, idzie. . .”, pomyślała radośnie i poszła do niego, i na drodze wzięła go za rękę, i razem do chaty weszli.

Matka i ojciec przy stole siedzieli i kołacz jedli. Maks przywitał się z nimi i zaproszony też przy stole usiadł. Eli postawiła przed nim filiżankę z kawą zbożową, a ojciec wyciągnął nalewkę z kredensu.

– Eli, daj kieliszki – warknął i Eli wstała, i cztery kieliszki na stole postawiła. Ojciec nalał i potem schował karafkę do kredensu. Usiadł i podniósł kieliszek.

– Prost. . . – powiedział i wypił słodką wódeczkę jak i wszyscy przy stole.

Potem znowu kołacz jedli i kawą popijali. Ojciec Eli opowiadał o tym, jak ciężko się żyje na stare lata, o tym, jak to na pierwszej wojnie wojował, i na tej też, ale ranny w nogę, już kaleką będzie, jak syn gdzieś na wojnie jeszcze walczy i nic o nim nie wiedzą, nawet czy żyje.

– Ciężkie mamy czasy. Mówią, że wojna dobiega końca, że ją przegramy. . . – zamilkł na chwilę, ale że nikt na to nic nie powiedział, prawil dalej swoje mądrości.

– Każda wojna kiedyś się kończy, potem znów można żyć jak się należy. Tak było po tej pierwszej. Ile narodu naginęło. . . – mówił i mówił, a młodzi go nie słuchali. Przyglądali się sobie.

– Przejdziemy się przez wieś z Maksem – powiedziała Eli nieśmiało do mamy. Chciała się przejść przez jej wieś. Chciała pokazać, że i ona, ta brzydka Eli, też ma kawalera.

Mama potwierdziła, że niech idą, co będą w domu ze starymi siedzieć. I szli tak przez wieś obok siebie jak para. I ludzie ich widzieli, i się dziwili, że taka Eli też sobie kawalera znalazła.

Eli spotkanym na drodze „dzień dobry” po śląsku mówiła, aż się Maks zdziwił, gdy stanęła i ze starą Rozalą również po śląsku rozmawiała. Gdy spytał, czy jest Polką, Eli zaprzeczyła.

– A gdybym była Polką? – spytała.

– To nie ma znaczenia.

– My tu od zawsze i po niemiecku, i po polsku mówimy. Moja mama po polsku się modli, a ja po niemiecku. Ale ze starszymi po polsku mówimy, zaś młodzi ze sobą po niemiecku. Takie tu mamy zwyczaje – Eli chciała zmienić temat rozmowy. – Kiedy musisz jechać? – spytała.

– Już od jutra za tydzień musimy się zgłosić w naszej kompanii, a ze dwa dni trzeba na podróż. W piątek albo w sobotę wyjedziemy. Nie wiem, kiedy Teo pojedzie. Ja tak jak on. Będzie ci smutno, jak pojedę?

Eli się zarumieniała i nic nie powiedziała. Ale wiedziała, że smutno jej będzie.

Jak do domu wracali, już słońce powoli zachodziło, a takie o zachodzie ostre było, że czupryna Maksa czerwieniła się jak płomień.

Matka Eli już w piecu rozpałała i chleba z masłem nakroiła. Zaprosiła młodych do stołu. Maks ze smakiem jadł chleb i popijał czarną, gorącą kawą. Eli też jadła i ojciec jadł. I krzywo na młodych patrzył, i każdą kromkę chleba liczył, którą Maks zjadał. Wszyscy milczeli.

Zrobiło się późno i ciemno. Maks wstał od stołu i pożegnał się ze starymi, a Eli go na dwór wyprowadziła, aż za furtkę. Wtedy Maks szybko pocałował Eli w usta i czekał, i bał się, że ona ucieknie, ale Eli stała i czekała na jeszcze.

Była odziana szerokim szalem, który na siebie zarzuciła, wychodząc z domu za Maksem. Wziął ją Maks za rękę i szli starą drogą, i co chwilę się zatrzymywali, a on ją obejmował i coraz śmiejiej całował. Tak doszli do lasu. I tu się zapomnieli. Tu się na tym szalu maminy zapomnieli. Tu byli szczęśliwi.

Eli o północy do domu wróciła. Mama niby nie czekała. Niby spała. Mama udawała, że śpi. Mama widziała, jak ci młodzi na siebie patrzyli, i żałowała, że nie przestrzegła córki, że nie przypomniała jej, że nie chce w domu córki z brzuchem bez męża, nie chce w domu bękart, że co by ludzie powiedzieli, że takiego wstydu by nie przeżyła, że to grzech, że ojciec by ją z domu wygnał... Stary co chwilę się budził i o Eli pytał.

– Śpij, śpij, Eli dawno w domu – mówiła.

A Eli o tym wszystkim wiedziała. Ale Eli kochała, i to było teraz dla niej najważniejsze. Maks codziennie ją do domu odprowadzał i co dzień w to samo miejsce bez słowa skręcali i pod wielkim dębem w jesiennych liściach się kochali.

Było jej już wszystko jedno, nie myślała o tym, co będzie. Żyła tak, jakby to jej życie miało się skończyć w piątek, kiedy jej Maks na front pojedzie.

Truda zobaczyła raz, jak Maks obejmował Eli w stodole, ale nic nie mówiła. Pojedzie niedługo i szkoda będzie dziewczyny, bo widziała Truda, że Eli jest nie ta, co była, widziała Truda ten wzrok dziewczyny za Maksem goniący.

I nadszedł piątek. Nadszedł deszczowy piątek. Wczesnie raniutko wstała Truda i Tea zbudziła, i Maksa zbudziła. Już mieli chleb, jajka i wędzonkę w plecakach. Jedli szybko, żeby się na pociąg nie spóźnić. Teo jeszcze spojrzął na śpiące trzy córki. Pożegnał się z Trudą. Maks dziękował za wszystko. Szli na stację.

Będzie na stacji, czy nie będzie? Tak sobie myślał Maks. Jak będzie, wrócę tu po nią. A Eli na stacji czekała na Maksa, mokra od deszczu. Podawała mu zawiniątko z kołaczem, który mama upiekła.

Maks wziął ten pakunek i powiedział, że napisze, że przyjedzie. Eli podała jeszcze rękę Teo i musieli wsiąść do pociągu. Maks stał w oknie i patrzył na tę dziewczynę, i chciałby już tu z nią zostać, i nie chciał jechać do okopów, nie chciał jechać po śmierć.

Eli długo jeszcze stała, aż trzeba było iść do Trudy, do służby. Szła jakoś wolniej. Już go tam dziś nie będzie. Znow przyjdą zwyczajne dni, pełne pracy. Teraz jeszcze tęsknota i strach o Maksa, i czekanie na list, na wiadomość do tej codzienności dołączają. Teraz i ona będzie na kogoś czekała, choćby na list, choćby na jakąś wiadomość.

Mało z Trudą tego dnia rozmawiała. I Truda nie miała ochoty na rozmowy. Obydwie się do pracy wzięły. Myślały o swoich mężczyznach. Truda bała się kolejnej ciąży. Tak ciężko każdy poród zносиła. A ostatnie noce z Teo były gorące.

Eli siadała w kuchni na szeszlunku i brała poduszkę, która Mak-

sem pachniała, i przytulała ją do twarzy, zamykała oczy i wahała. To był zapach rudej czupryny Maksa.

Potem nastaly smutne jesienne dni. Potem nastaly trudne dni niepewności i czekania. Jedno już Eli wiedziała. Już wiedziała, że nie sama tę drogę codziennie przemierzała. Czasem w słoneczny listopadowy poranek siadała pod tym dębem, tak jak wtedy z Maksem, i myślała, co będzie, jak matka odkryje jej tajemnicę.

Na list od Maksa czekała, a list nie przychodził. Sama do niego napisała. Prawdę napisała, że nie może zostać sama, że musi do niej wrócić, że nie wie, co się z nią stanie, jak nie wróci, bo dziecko będą mieli z tej ich krótkiej miłości... Truda dała jej adres, bo nieraz do Tea pisała, ale o nic nie pytała.

Aż przyszedł list pewnego dnia. Deszcz padał. Chłodny, grudniowy. Listonosz przywiózł ten list i wszedł do domu, a z jego mokrej peleryny kałuża się w kuchni zrobiła. Teo napisał z frontu. Truda nie chciała listu przy obcym czytać i czekała, aż listonosz wyjdzie.

Eli siedziała blada przy stole i choć wiedziała, że to nie dla niej list, czuła, że jakąś wiadomość od Maksa zawierał. Patrzyła na Trudę, jak cicho czytała.

Truda dała potem list Eli i sama sobie Eli o swoim Maksie przeczytała. Sama sobie o jego śmierci przeczytała. Sama sobie ten list złożyła i do kieszeni włożyła, i płaszcz założyła, i nic nie mówiąc, wyszła. I szła Eli w tym deszczu do domu, i nie czuła zimna, ani deszczu. Szła tą ich drogą. Usiadła potem pod dębem, gdzie z Maksem siadali... Aż wieczór nadszedł.